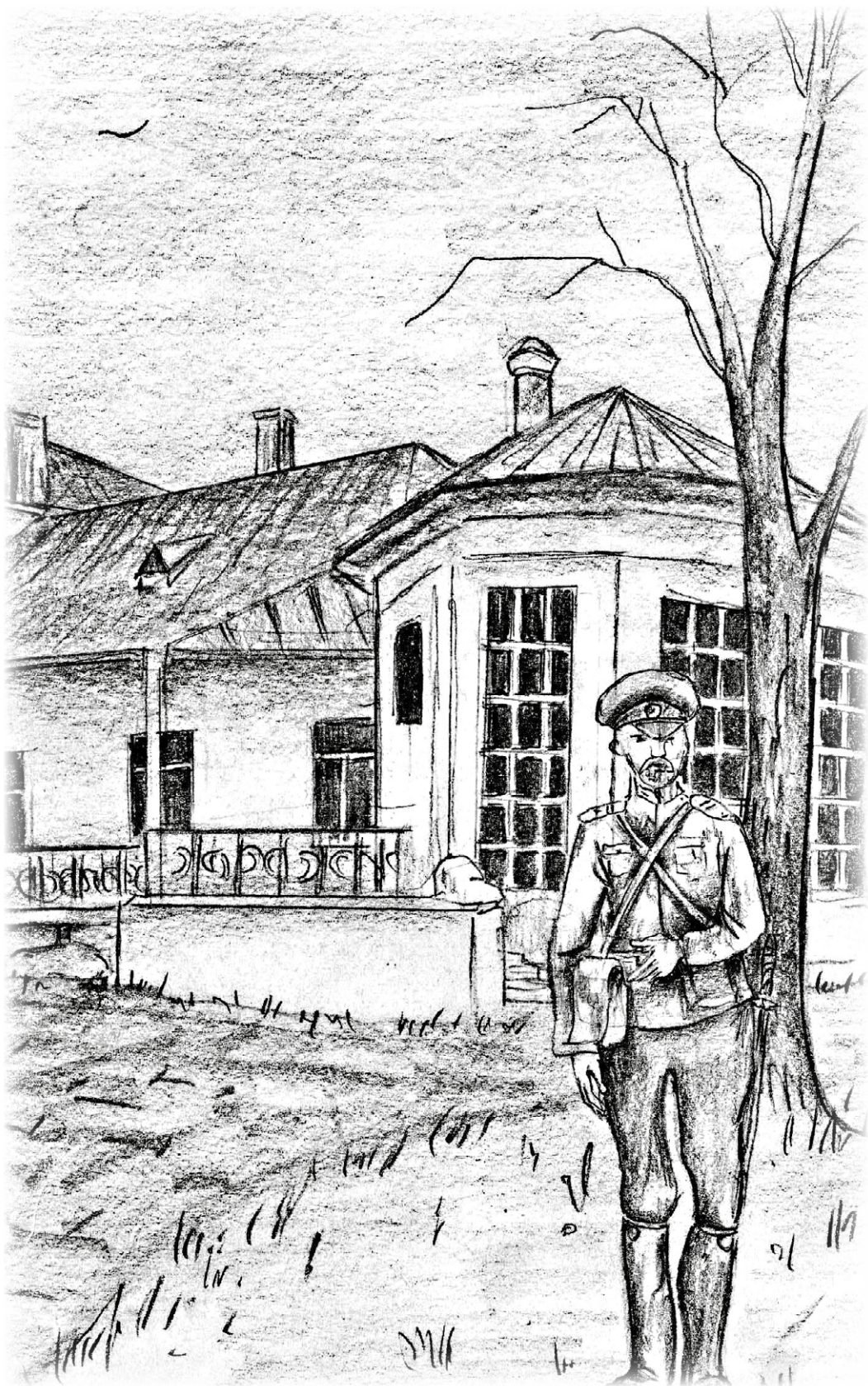


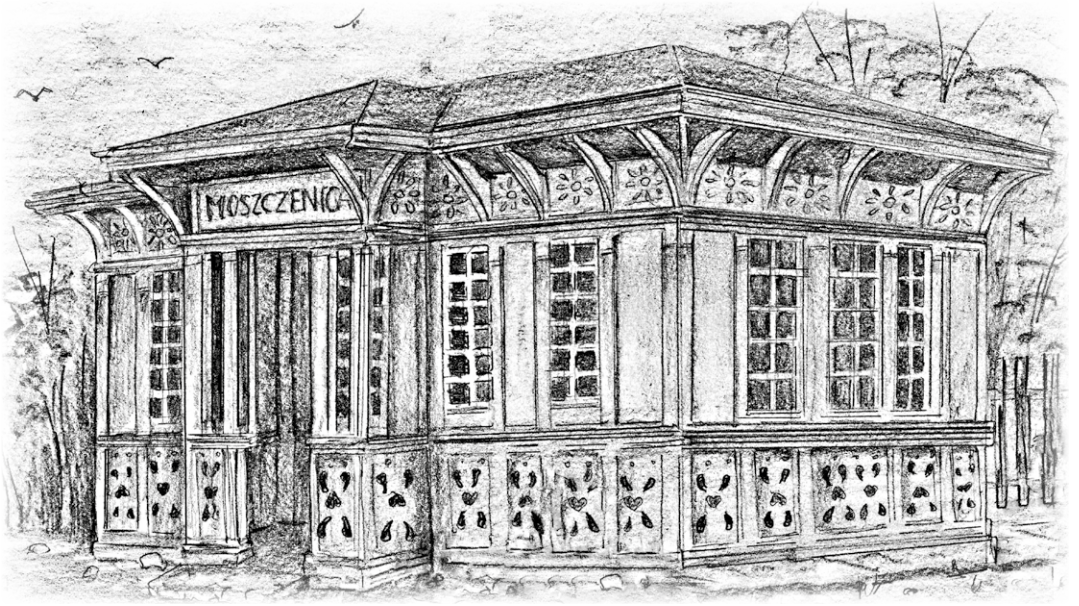
**W blasku
utraconego
świata**



W blasku utraconego świata

Jarosław Śmiechowicz
we współpracy
z Andrzejem Nitkiem

Żywocin 2021

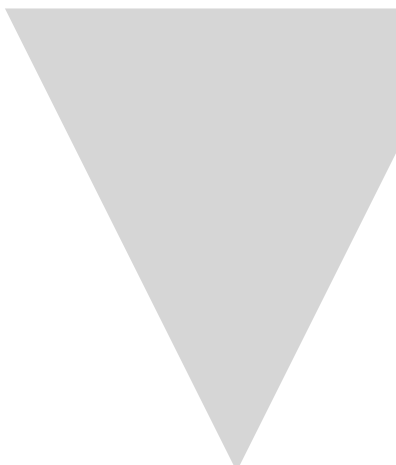


Moszczenica usytuowana jest na niewielkim wzniesieniu, wznoszącym się nad rozlewiskiem rzeki Moszczanki w odległości 20 km na północ od Piotrkowa Trybunalskiego. Najstarszym śladem osadnictwa na terenie dzisiejszej gminy Moszczenica jest grodzisko w miejscowości Rękoraj, datowane na około IX w., położone wśród bagnistych łąk nad rzeką Moszczanką. Mimo stosunkowo niewielkich rozmiarów gród był silnie ufortyfikowany i stanowił ważny element sieci osadniczej na ziemiach polskich.

Pierwsza wzmianka o Moszczenicy pochodzi z roku 1392. Nazwa miejscowości została użyta w księdze ziemskiej sieradzkiej. Od połowy XIX wieku przebiegała tędy linia kolei warszawsko-wiedeńskiej, przy czym duża stacja osobowo-towarowa była położona w pobliskich Babach.

Przemysłowy rozwój Moszczenicy i okolic był możliwy dzięki odkupieniu w 1898 roku majątku Wilskich przez pabianickiego przemysłowca Teodora Endera. W krótkim czasie rodzina Enderów ożywiła gospodarczo Moszczenicę, przekształcając ją w osadę robotniczą. Nowy właściciel przebudował pałac i otoczył go pięknym parkiem. Jednak największym jego przedsięwzięciem był zakład włókienniczy – Moszczenicka Manufaktura. Zakład był stale rozbudowywany i unowocześniany. Świadczy o tym wzrost zatrudnienia. W 1900 roku było w nim zatrudnionych 650 pracowników, a w roku 1924 było ich już 1450.

Moszczenica była własnością Enderów do 1944 roku, kiedy to rodzina ostatniego właściciela, Stefana Endera, opuściła Polskę, a majątek został upaństwowiony dekretem PKWN.



Przeszłość,
jeśli jej nie zapomnisz,
stanie się drogowskazem
w przyszłości.

Rozdział 1

Ziemie pokryła gruba warstwa śniegu. Świeży biały puch ukrył szarość jesiennego krajobrazu. Srogi mróz sprawił, że każda drobina pary natychmiast zamieniała się w kryształki lodu, które wirowały w powietrzu, mieniąc się kolorami. Parowóz powoli wtoczył się na stację, zatrzymując skład pociągu przy pierwszym pomoście. Kilka chwil postoju, jakieś nawoływania, kilka osób wsiadających i wysiadających z pociągu wypełniło czas postoju. Stalowa maszyna otoczona kłębamii pary czekała na znak do dalszej jazdy, sapiąc i dysząc. Donośny głos kierownika pociągu oznajmił:

– *Wнимание pasażery, stacja Baby, otjeżdżamy!*

Jakiś podróżny przetarł dłonią zaszronione okno. Chuchnął kilka razy, by para z ust ogrzała zamarznąłą szybę, po czym ponownie potarł dłonią. Zaraz szkło stało się przejrzyste.

Przez ten niewielki otworek zlustrował to, co na zewnątrz, komentując:

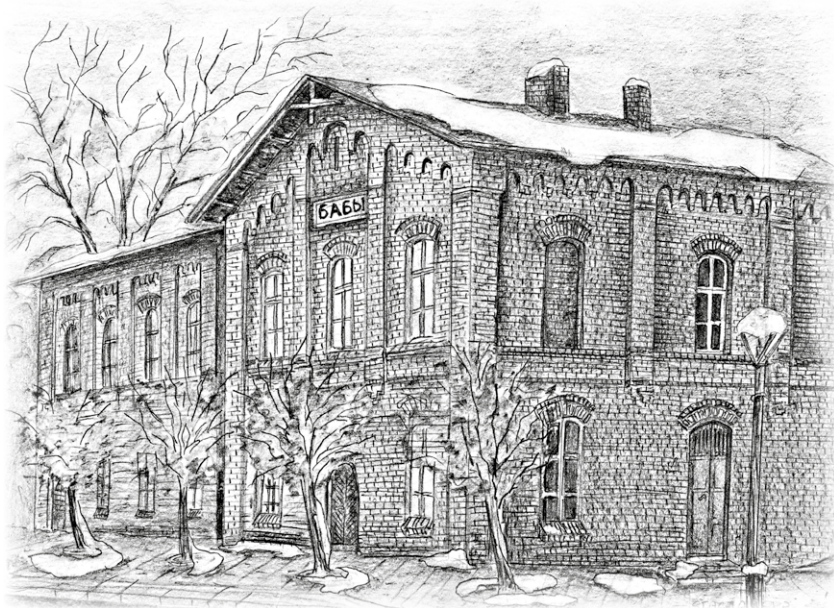
– Okazały i ładny budynek jak na taką wiejską stacyjkę.

Kobieta, która mu towarzyszyła, również chciała zaspokoić swoją ciekawość. Mężczyzna szybko zmiarkował i poddał się jej woli:

– Ależ, przepraszam, spójrz kochana, jaki widok.

Ona przybliżyła twarz do zimnej powierzchni i przez oczyszczony z mrozu jej fragment spojrzała, na ile pozwalał ograniczony fragment odmrożonej szyby, zauważając:

– Piękna stacja. Czerwona cegła w odbiciu białego śniegu uwydatnia okazałość dworca. Drzewa, pokryte szronem, bielą się i wyglądają jak w świecie bajki.



On na to powiedział:

– Ty we wszystkim dopatrujesz się piękna, Heleno. Dla mnie stacja to stacja. Widzę, że pomost odśnieżony. Porządek jest, to dobrze świadczy o gospodarzach.

Ona uśmiechnęła się i odparła:

– Teodorze, kobieta inaczej widzi świat. Bardziej uczuciowo.

On nie pozostawał jej dłużny:

– Trudno o romantyzm, gdy na dworze siarczysty mróz.

Spojrzał na żonę tak ciepło, że wiedziała, iż ten twardy mężczyzna serce ma złote.

W kotle zawrzało, z wydechu buchnęło, koła wprawione w ruch z wielkim mozołem zaczęły obracać się, po żelaznej drodze napędzając pojazd. Ten ciągnął za sobą wagonów kilka, więc ciężar był duży. Toteż pojazdowy zagarniał łopatą czarny węgiel i ciskał do paleniska,

dbając o moc napędu maszyny. Jeszcze tylko gwizd, stukot potężnych łańcuchów, spinających człony i olbrzym począł przyspieszać, pozostawiając za sobą ceglany dworzec i pusty już pomost. Na przejeździe kilkaset metrów od stacji dróżnik latarnią ostrzegał przed nadciągającym kolosem, by w czasie przejazdu nikt nie wszedł na tory. Działwa na ośnieżonym nasypie odprowadziła wzrokiem skład, machając serdecznie rękoma do podróżujących. Parowóz, wyrzucając z wydechu coraz więcej i więcej kłębow dymu, pędził, rozbryzgując białą pierzynę z torowiska i wzbijając za sobą kłęby białego pyłu, stał się niczym śnieżna kula mknąca po żelaznych torach. Minął kilka chałup przykrytych śniegiem, z których dym pionowo wznosząc się ku górze szarą wstęgą, oczekiwać nakazywał jeszcze bardziej mroźnych dni. Dalej były białe pola, na których licznie gnieździły się kuropatwy pośród kęp rozłożystych krzewów, samorodnie usianych wzdłuż drożyny. Rozgrzebując śnieg spod krzewów, tam, gdzie było go najmniej, szukały opadłych nasion. Tuż spod nasypu wybiegł na wolną przestrzeń zając i spłoszony widokiem pociągu odskoczył na kilkadziesiąt susów. Nagle zatrzymał się, strzygąc uszami, ale huk pogonił go w dal. Stado saren bacznie obserwowało okolicę, nie zważając na odgłos parowozu. Pociąg nieco zwolnił, wjeżdżając na most. W dole widać było trzciny suche i sterczące, wyższe od dorosłego człowieka, otoczone olszynowym lasem. Pośród nich wiła się rzeka. Teodor spojrział przez niezamarzniętą jeszcze szparę, ponownie przetarł szybę i zwrócił się do swojej towarzyszki podróży:

– Popatrz, kochanie, mróz taki, a woda w rzece niezamarznięta.

Kobieta odparła:

– Pewnie źródła tej rzeki biją z głębin, a woda rześko płynie i nie zdążył mróz ścisnąć – odpowiedziała, uśmiechając się do niego i nie przerywając, ciągnęła dalej: – Po tamtej stronie w oddali dostrzegłam kościół, na wzniesieniu. Jakaś wioska, wokół bagna, lasy i pola. Musi być tu przyjemnie wiosną i cudownie latem.

Tu pociąg zwolnił na chwilę, mężczyzna zażartował:

– To może wysiadziemy?

– Oszalałeś, w taki ziąb – odparła, pocierając dłonie o siebie.

Mąż nieco poważniej zaproponował:

– Ale pomyśl, do Pabianic niedaleko, jeśli chciałabyś zobaczyć, jak pięknie jest na prowincji, to przyjedziemy tu kiedyś.

I znów żelazny smok, rozpędziwszy się, pociągnął ośnieżony skład pociągu w kierunku Piotrkowa. Krajobraz nieco uległ zmianie, pola ustąpiły miejsca lasom. Jednak po niedługim czasie pociąg zaczął zwalniać, po czym ledwie się toczył, gdzieś pośród kniei. Potężne dęby po obu stronach szlaku majestatycznie rozciągały swoje długie ośnieżone konary, tworząc jakby magiczny tunel nad torowiskiem. Parowóz huczał jednostajnie, rytmicznie, wypuszczając z komina kłęby pary. Nagle mocno zwolnił, prawie się zatrzymując. Kierownik pociągu, człowiek w średnim wieku, odziany w nienaganny mundur służbowy, otworzył okno i wychylając się na zewnątrz, zobaczył na torowisku odzianego w kozuch męczyzną, trzymającego w rękę karbidówkę, która kołysała się raz w lewo, raz w prawo.

Kierownik zapytał:

– Kim jesteś? – jego służbowy głos brzmiał donośnie.

– Dróżnik kolei żelaznej Roch Śmiechowicz, panie kierowniku – odparł tamten.

Na odgłos rozmowy wysunął się też maszynista, by natychmiast spełnić polecenie przełożonego.

– Co się stało? – zapytał ponownie kierownik.

– Polecenie mam, by uważać, bo zasy porobiły się przed Piotrkowem. Trzeba jechać wolniej i zachować czujność, bo ludzie na torach pracują, a mróz siarczysty i szyny mogą pękać.

Maszynista na potwierdzenie, że zrozumiał, pociągnął rączkę, uwalniając przepływ pary przez żelazny gwizdek, tak że dźwięk rozniósł się na całą okolicę. Kierownik, widząc, że pojazdowy zrozumiał ostrzeżenie, podniósł rękę i schował się w wagonie.

Teodor Ender, korzystając z okazji, zapytał:

– Będzie postój, panie kierowniku?

Na to kierownik odpowiedział:

– Nie stajemy, proszę szanownego pana, jedynie musieliśmy zmniejszyć prędkość. Mamy trudny odcinek szlaku. A że mróz tęgi, to zagrożenie jest, że szyny mogą pękać.

Ender pochwalił tę przezorność:

– Słusznie, dla bezpieczeństwa to i spóźnić się możemy.

Niemal z oburzeniem kierownik zaoponował:

– Ależ proszę pana, w żadnym wypadku się nie spóźnimy!

Mamy kilka minut w zapasie, więc na czas będziemy w Piotrkowie.

Ender, lekko zdumiony, dorzucił:

– Podoba mi się wasza punktualność.

Kierownik uśmiechnął się:

– Według rozkładu jazdy może pan zegarek ustawić.

Gdy pociąg potoczył się dalej, Roch już miał zgasić karbidówkę i pójść na gorącą herbatę, mieszkał przecież tuż obok w domu kolejowym, gdy spostrzegł od strony lasu wyłaniającą się jakąś postać. Wyglądała na wątłą, a może bardzo młodą. Otulona w kożuch, którego koniec ciągnął się po śniegu i w futrzaną czapę, postać była nie do rozpoznania, ale gdy człowiek zawołał:

– Panie dróżniku!

To Roch, dla upewnienia się, że go rozpoznał, zapytał:

– Antoni Głowacki? A gdzie ty idziesz?

– Ja do was – odparł Antoni.

Dróżnik jeszcze raz zapytał:

– A co ty u licha w taki mróz po lesie łazisz? Ojciec z chałupy cię wygonił?

Chłopak na to odparł:

– A tam wygonił, nawet nie wie, że mnie nie ma.

Gdy zbliżył się na kilka kroków od Rocha, zapytał:

– A węgla trochę by nie miał pan dróżnik?

– Tak jak ostatnio? – zapytał Śmiechowicz.

Młodzieniec wyciągnął spod kożucha rzemyk, na którym wisiało kilka ptaków i zapytał:

– To wystarczy?

Dróżnik obejrzał ptaki zawiązane za łebki. Szare kuropatwy wyglądały na dorodne, więc odparł:

– Dobrze będą, Bóg zapłać, Marianna przyrządzi wykuśny posiłek.

Chłopak pouczył:

– Tylko niech skruszeje mięso na mrozie. Dziczyna ma swoje prawa.

Dróżnik odrzekł:

– Nie musisz mi przypominać, wiem to.

Chłopak uśmiechnął się:

– Samo zdrowie i samo rośnie, bez wydatków, wystarczy złapać.

Roch odwzajemnił uśmiech i przestrzegł Antoniego:

– Uważaj tylko, by cię nie upatrzyli z dworu, bo obiliby ci plecy i mogliby zrobić krzywdę.

Chłopak odpowiedział sarkastycznie:

– A bo to ja się przyznam w czym lesie czy na czym polu zwierzęta chwytam. A czy zwierz dziki nie jest wolny? Czy nie popasa tam, gdzie se chce? A tak w ogóle, to który tam z Wilskich dworku się wychyli. Siedzą jak myszy pod miotłą i czekają wiosny. Ojciec mówi, że niedługo ten ich majątek całkiem w ruinę popadnie.

Roch odparł:

– A no, prawda. Ja tylko nie chcę, byś się dał złapać, bo wtedy i mnie skończyłyby się przysmaki.

Chłopak uklonił się nisko i już odchodził, więc Roch zapytał:

– A węgiel?

– Niech pan go zostawi koło domu, przy studni. Później zabiorę, bo mam jeszcze jedno miejsce na uwadze.

– A gdzie to jeszcze droga prowadzi? – spytał dróżnik.

– Powiem wam w tajemnicy – niemal szeptał chłopak – bo wymianę robimy nie pierwszy raz. Ja muszę jeszcze zajaczka podrzucić do leśniczówki.

– Co? – zdziwił się Roch. – Jak to?

Chłopak wyjaśnił:

– No nie dla leśniczego. Dla jego zięcia, Michała Mazurkiewicza, tego, co ma wyszynk na Fryszerce.

Roch nie wytrzymał, parsknął śmiechem i zawołał:

– A to ci heca, kłusownik zająca chce zanieść wprost pod nos leśniczemu. A jak cię zobaczy?

Antek znowu zażartował:

– Jak to mówią starzy ludzie, że pod świecą najciemniej. Ja mam z panem Michałem umówione miejsce. Tam go zostawię bez podejrzeń. Potem ludziska w knajpie będą palce oblizywać. Muszę już iść, szczęść Boże.

– A to przechera i spryciarz ten Antoś! – pomyślał Roch, a głośno dodał: – W Imię Boże, chłopcze, szczęśliwej drogi.

Zanim ci dwaj się rozstali, pociąg dojechał do Piotrkowa. Enderowie, korzystając z zaproszenia przyjaciela, z którym od lat współpracowali w branży kupieckiej, nawiązując przy tym również towarzyskie stosunki, korzystali ze sposobności, by nieco bliżej poznać stolicę guberni. Emil Haebler był kupcem z Saksonii. Przybywszy przed laty do guberni piotrkowskiej, zaczął prowadzić tu swoje spółki. Głównie zajmował się dostarczaniem urządzeń, smarów, węgla i przędzy bawełnianej dla fabryk włókienniczych, a jednym z odbiorców jego towarów było przedsiębiorstwo ojca Teodora – „Krusche & Ender” mieszczące się w Pabianicach. W roku 1893 Emil wydzierżawił hutę „Annę” w guberni piotrkowskiej. Cztery lata później odstąpił od dzierżawy i rozpoczął w Piotrkowie budowę własnej huty szkła o nazwie „Kara”.

Dorożka czekała pod dworcem. Woźnica w długim białym kożuchu i czapce w tym samym stylu czekał przy zaprzęgu. Choć wcześniej Enderów nie widział, ale jako że wyróżniali się ubiorem i elegancją, rozpoznał ich pośród podróżnych i powitał:

– Szanowni Państwo Enderowie?

Teodor skinął głową na potwierdzenie, a dorożkarz zaprosił ich do powozu:

– Zapraszam do powozu! Szanowny pan Emil z małżonką czekają na państwa.

Zajęli miejsca na siedzeniu wyłożonym skórą. Woźnica nakrył nogi obojgu podróżnym skórą z długim włosiem, podobną do tej, z jakiej miał wykonany kożuch i oznajmił:

– W kilka chwil będziemy na miejscu.

Enderowie, jako że pierwszy raz byli w Piotrkowie, bacznie rozglądali się po uliczkach. Podkute konie mknęły po oblodzonym

bruku niczym po polnej drodze, jedynie stukot ich kopyt wydawał się jakby głośniejszy.

– Czy wy, woźnico, jesteście tutejsi? – zapytał Teodor.

Woźnica spojrział w jego stronę, przez ramię i odparł:

– Tutejszy, ja z Piotrkowa, Polak z dziada pradziada.

– Ja nie mam uprzedzeń – Ender wyjaśnił. – Mnie narodowość nie przeszkadza. Jedynie usposobienie człowieka i pracowitość jest ważna.

– Mądre słowa! Nie każdy tak uważa – odparł dorożkarz.

– W takim razie – Teodor Ender poprosił – opowiedzcie nam coś o tym mieście, zanim dojedziemy na miejsce. Żona zawsze ciekawa takich powiastek.

Woźnica nabrał odwagi po tym, co usłyszał, więc zaczął opowiadać:

– To prastare miasto. Włoska królowa Bona, kiedy wyszła za polskiego króla, to Strawą, znaczy się naszą rzeką, przypłynęła do samego Piotrkowa. Były tu elekcje królów. Sejmy zbierały się tu za czasów Rzeczypospolitej. Królowie bywali, a szlachta i możni bawili się w mieście niezgorzej. Potem przyszły gorsze czasy. Szwedzi oblegali i złupili miasto, zaraza, pożary, no i teraz mamy miasto gubernialne.

– Los wam Polakom nie sprzyjał – odniósł się do tego Ender.

Dorożkarz odparł:

– Dla prostego człowieka najważniejsze jest to, by do garnka miał co włożyć i dzieci nakarmić. A czy w tym naczelstwo pomoże, czy może władza, to nie czyni różnicy. Żyć i tak trzeba, i dzieciaki do szkoły by posłać, ale czego one się tam nauczą po rusku.

Zapadło milczenie, zaprzęg zajechał na dziedziniec dworku, stamtąd do budynku było już kilka kroków. Mimo zimna Emil Haebler wyszedł przed dworek na powitanie gości:

– *Guten Morgen*¹. Dobrze, że mróz was nie zniechęcił, bo byśmy się wielce rozczarowali.

– Jeśli zaproszony nie zjawi się na zaproszenie bez powodu, to wielkie rozczarowanie zrobiłby gospodarzom – powiedział Teodor

¹ *Guten Morgen* (niem.) – Dzień dobry.

Ender. – A przecież mróz nie może być powodem. *Nicht wahr*²?
No nie jest jeszcze tak źle, skoro po mieście jeżdżą dorożki, a nie sanie.

– Roześmiali się obaj.

Gospodarz odparł:

– Kto wie? Jeśli śniegu dosypie. Zapraszam, zapraszam do środka.

Haeblerowie okazywali Enderom względy. Nie brakowało jadła napojów i pogawędek o wszelkich sprawach. Z czasem kobiety zajęły się sobą, zaś mężczyźni poświęcili więcej uwagi wspólnym przedsięwzięciom. Emil pochwalił się osiągnięciami w branży kupieckiej, nowym zakupem i związanymi z tym kłopotami. W pewnej chwili zapytał gościa:

– A ty, Teodorze, czy nie myślisz o dalszych inwestycjach, rozbudowaniu, wzbogaceniu zakładów? Może chciałbyś nabyć jakieś nowe posiadłości?

– Wiesz, Emilu – powiedział Teodor – już od pewnego czasu zastanawiam się nad tym. Myślałem zakupić ziemię, ale rozglądam się jeszcze. Kilku moich pracowników czyni to w moim imieniu. Właśnie, korzystając z możliwości, chciałbym poznać twoje zdanie. Ty tu prowadzisz rozliczne działania, zatem powiedz mi... – Teodor na chwilę zawiesił głos, nim zapytał – czy warto się angażować?

Emil uśmiechnął się i powiedział:

– Przecież Enderowie gospodarzą na tych ziemiach wcześniej niż ja.

– *Mein Freund*³ – rzekł Teodor – każda dobra rada jest mile widziana. Przecież nie rozmawiam z robotnikiem czy służącym, a z człowiekiem mającym rozeznanie w inwestycjach.

– Tak jak ty, Teodorze – odparł rozmówca.

Zaczerpnąwszy łyk wina, już nieco poważniej Emil Haebler przemówił:

– Powinieneś poczekać na właściwą chwilę. Upadają majątki, mógłbyś więc kupić porządny majątek za całkiem korzystną cenę. Ja zachęcałbym cię do tego. Wiesz, ludzie garną się do roboty,

² *Nicht wahr* (niem.) – Czyż nie.

³ *Mein Freund* (niem.) – Mój przyjacielu.

rak nie braknie, a i fachowcy się znajdują. No zależy, ile byłbyś gotów wyłożyć pieniędzy.

– Najchętniej nabyłbym miejsce – wyjaśniał Teodor – gdzie mógłbym od podstaw urzeczywistnić swoje zamysły. Marzy mi się gospodarstwo, zwierzęta. Ludzie spracowani, ale zadowoleni. Może gdzieś postawiłbym mały zakład przemysłowy? A i moja Helena bardzo lubi wieś.

Rozdział 2

▼

P óźnym popołudniem w śniegu ubitą ścieżyną wiodącą od cmentarza na południe, szedł w stronę kościoła człowiek odziany w kozuch z długim włosiem, na którego końcach sople lodu falowały niczym zawieszono ozdoby. Futrzana czapka na głowie, na nogach zaś walonki owinięte rzemieniem szczelnie chroniły nogi przed sypkim śniegiem. Wspomagając się kijem, brnął krok za krokiem w kierunku Fryszarki. Przy kościele wykonał znak krzyża, oddając cześć Najwyższemu. Minąwszy kościół obsypany śniegiem, zatrzymał się przez chwilę na wzgórku, by nieco odsapnąć. Z pobliskiej plebanii ksiądz proboszcz Jan Karwacki, spoglądając przez okno na świat, dostrzegł wędrowca i pozdrowił go ruchem dłoni. Ten zdjął czapkę i uklonił się nisko. Proboszcz na posadzie w Moszczenicy był piąty rok i dał się przez ten czas poznać jako opiekuńczy kapłan, życzliwy chłopom i pomocny w potrzebie.

Z plebanii rozpościerał się widok na pokrytą białym śniegiem dolinę, na której dnie wiała się piaszczysta rzeka. Zszedł więc ku niej i dotarł do drewnianego mostu przy młynie. Po prawej jego stronie wody z Moszczanki tworzyły rozlewisko pokryte lodową płytą. Wokół sterczały szare trzciniowe tyki, szeleszcząc na lekkim wiateryku. Na jazie przy młynie woda wyciskała się wąskim gardłem spod pokrywy lodowej, a spadając z wielkim szumem, bryzgała po kamieniach, by w tej samej chwili marznąć, przeistaczając się w kryształ o bajkowych

kształtach sopli i białych wstęg. Dalej płynęła na wschód, w kierunku Wolbórki. Przed wędrowcem rozpościerał się wiekowy młyn, pamiętający jeszcze jego dziada. Mężczyzna znów przystanął. Oddychał głęboko, bo zmęczyła go ta droga. Jeszcze przez chwilę przyglądał się szalejącej wodzie, po czym doszedł do okna młyna i pukając w nie, zawołał:

– Feliksie!

Nikt jednak nie odpowiadał, więc powtórzył z nagłosem:

– Feliksie, Feliksie, a wyleż no z młyna!

Młynarz nie odezwał się jednak, za to ze środka popłynął głos kobiety:

– Czegoż tam?

– Niech będzie pochwalony! – powiedział mężczyzna. – Młynarzowo, to ja sołtys Wincenty Niedzielski, z mężem mam do pogadania.

– Nie ma go – odparła.

On jednak nalegał:

– A gdzie to się podział wasz małżonek?

Oschle odburknęła:

– Jak roboty nie ma w młynie, to siedzi u sąsiada w karczmie i strzepi jęzor.

Wysłuchawszy jej wyjaśnień, znów pozdrowił Boga i dodał:

– A to innym razem.

Już miał ochotę pomaszerować w stronę własnej chałupy, ale wiedziony pokusą przyjemnej biesiady, skierował kroki do wyszynku.

W karczmie u Mazurkiewicza, położonej w pobliżu młyna, już od południa gościli się miejscowi, których żadna pogoda nie była w stanie powstrzymać przed nakrapianą biesiadą. Zimową porą w gospodarstwach niewiele się działo. Innej roboty także nie było ani w zagródkach, ani na urobku. Tego wieczora szczególnie gwarno było w izbie, co tylko zachęciło Wincentego. Wszedł schodkami na podest, otrzepał ze śniegu buty i rozejrzał się na boki. Od strony Woli Moszczenickiej widać było jeźdźca na karym koniu. Poznał go od razu, był to dziedzic z majątku, Leonard Wilski. Czekał jeszcze chwilę, by nikt nie pomyślał, że jest strachliwy i obawia się szlachcica.

Gdy tamten był już blisko, spojrzeli na siebie, ale żaden nie wyrzekł pozdrowienia.

– Psiajucha, szacunku nie ma dla nikogo – zaklął cicho Wincenty.



Sprawnym krokiem przekroczył próg i rozejrzał się za młynarzem. Feliks Kowalski siedział na ławie w oparach dymu i gorzalczanej woni. Wincenty podszedł i przywitał się serdecznie. Z taką samą serdecznością zaprosił go do stolika młynarz.

– Siadajcie przy mnie, gospodarzu – ruchem ręki wskazał ławę.
– Napijcie się gorzałki? – zapytał.

– A jakże – potwierdził sołtys. – Z wami zawsze wychylę szklaniczkę.

Sołtys Wincenty, choć mógł być ojcem Feliksa, widział w nim swego towarzysza, mimo starszeństwa i zajmowanego urzędu we wsi. Młynarz był uczciwy, pomocy nie odmawiał, nawet tym biednym komornikom, którzy często na przednówku przychodzili do niego po prośbie.

Sołtys skinął na Michała, bo porządnemu gospodarzowi nie wypadało przysiąść się bez poczęstunku. Szylnik szybko przyniósł chleb, słoninę, cebulę, a nie zabrakło i gąsiora araku. Do pogawędki zapragnęli przyłączyć się pozostali gospodarze, zasiadający na sąsiednich ławach. A byli tam Wawrzyniec Gładysz, Tomasz Rudnik, Antoni Kazimierczak, Andrzej Góra i Jędrzej Kacperek.

– A pozwolita no rozmowie potowarzyszyć? – zapytał Kacperek.

Młynarz wskazał ręką na ławę i sołtys również go zachęcił:

– Siadajcież, to pogadamy, co na wsi słyhać. Co tam wam dokucza?

Drugi z chłopów, Kazimierczak, odparł:

– A no nie, przy krewkim napitku nie będziemy żadnych ważnych spraw rozierać.

– Ani o rządach, ani o dziedzicach – wtrącił Andrzej Góra – lecz radzi jesteście pogadać o ładnej młynarczce. – Wszyscy się zaśmiali.

Młynarz zawołał, prosząc o szklaneczki, a kiedy je doniesiono, nalał gorzałki i zachęcił przybyłych:

– No, napijta się za moje zdrowie.

Wypili za zdrowie młynarza, a Andrzej Góra dorzucił:

– A zawsze warto napić się na drugą nożkę. Zdrowie młynarzo-wej! Nie pomnę jak jej na imię?

– Matylda – pochwalił się młynarz, a uśmiechając się, dodał: – Ślub niedawno wzięliśmy.

Wincenty zauważył, że rozmowa wchodzi w osobistą przestrzeń młynarza, a że chłopcy byli zazwyczaj sprośni i rubasznymi w swych docinkach, zmienił więc temat:

– Wy u Wilskich macie jaką robotę w tartaku?

Odpowiedzi podjął się Antoni Kazimierczak:

– Teraz zima to jedynie przy kole, bo u szlachcica żadnej roboty ni ma, a w ogóle, co tam za robota u Wilskich. Wszystko w nieład idzie. Młody Leonard nie przykładają się zbyt do trzymania porządku w majątku, a i ziemia leży odłogiem.

Swoją opinię wtrącił sołtys:

– On tam raczej przedkłada swego konika i buja głową w chmurach. Nabył ten majątek, ale po co? Nie wiem.

Młynarz, Feliks Kowalski, zapytał pozostałych:

– A to nie należy do ich rodziny z dziada pradziada?

Sołtys ożywił się:

– Tyś jest u nas nowakiem, to i takich rzeczy nie wiesz.

– Ja pilnuję swojej roboty w młynie – wyjaśnił Feliks – a drugie sprawy to mi jedno.

– Żeby jeszcze swojej – złośliwie skomentował to Antoni Kazimierzczak.

Tomasz Rudnik uspokoił towarzystwo:

– Cichoja powiem wam i zapamiętajta, co mi proboszcz dobrodziej kiejs powiedział. Ano ta nasza Moszczenica będzie mieć kilka wieków. Pierwej należała do rodu Kossowskich, potem Lubiатовskich, tych spod Wolborza. Po nich nastały Bykowskie spod piotrzkowskich Byków. A hrabiowie Małachowscy rządźili tu długo. Ze czterdzieści lat temu sprzedali majątek niejakim Ostrorogom, a ci Wilskim ze dwadzieścia lat temu. To już winništa pamiętaćć.

– A jakże, pamiętamy! – gromadnie odparli.

Tomasz zaraz dodał:

– A i moja rodzina z dziadów tu na Fryszerce zamieszkuje, jak wieta wołają na nas Rudniki. Nazwisko mamy od rudy żelaznej, cośmy ją tu z torfowisk nadrzecznych kopali.

Zdziwili się nieco wszyscy, że chłop tyle wie o dawnych dziejach.

A on prawil dalej:

– Naprzeciw młyna, tam, gdzie kuźnia jest teraz, stał duży piec wypaleniskowy, hutniczym nazywany, koło wodne podnosiło młot kowalski, by zbić żelazo. Jak pracował młot, to huk był na całą okolicę.

Sołtys, widząc, że rozmowa nabrała rozpędu, przywołał szynkarza:

– Michale, a podajcie no jeszcze jednego gąsiora i zakąskę dajcie porządną.

Tamten zaraz przyniósł spieczonego szaraka na półmisku, obficie polanego sosem. Poczęli się posilać, skubiąc chleb i maczając go w sosie, przegryzając kąskami mięsa. Słysząc było jedynie mlaskanie i pomruki zadowolenia. Gdy już nieco podjedli, karczmarz wtrącił:

– Słyszałem, że mieliście jakieś kłopoty z lasem przy folwarku pomykowskim?

Na to Wincenty odparł:

– No nie przy majątku, a na Lesisku. Nie pamiętasz tamtej nieuczciwości, kiedy to Wilski część lasu sprzedał niejakiemu Eliazzowi Herszbaumowi, panu pejsiatemu? Tenże niemal natychmiast przeprowadził wycinkę. A przecież ta część lasu należała do chłopów, którzy otrzymali ją w serwitut, już będzie ze czterdzieści lat.

Na to Andrzej Góra wtrącił się do rozmowy:

– No tak było, ale co tam chłopcy, tylko w gębie mocne, śmy se dali wyrąbać nasz las.

Kazimierczak dodał:

– No jak drwale przyszli i robotę zaczęli, tośmy przecież tam kupą pobieżeli i nie dali drzew rznąć. Może i by ustąpili, dyc to bezprawie było. Ale ktoś podburzył i zwlekl na miejsce folwarcznych z Pomykowa, Woli Moszczenickiej, Kosowa. Bitka się zaczęła i szarpalina. Dobrze, że trupa żadnego nie było, bo to przecie siekiery i kije grube pod ręką były. Różnie być mogło.

Sołtys skwitował:

– No i dobrze, bo żandarmy pojmałyby złoczyńców i pewnikiem by ich obwiesiły. Nikomu to niepotrzebne.

Jędrzej dopowiedział:

– Niepotrzebne, ale prawda taka, żeśmy nie potrafili swojego obronić. To z własnej ziemi też byś doł się pogonić?

Szynkarz wysłuchał tego, znał przecież tę historię, od swojego teścia, leśniczego, z pierwszej ręki i powiedział tak:

– Wy chłopcy nie takie nieporadne. No może jeno co poniektóry.

– Co masz na myśli? – zapytał sołtys.

Na co tamten odparł:

– Przecież tym, którzy najbardziej was pognali z lasu, nie uszło to na sucho. Dom rządcy i karbowych na folwarku pomykowskim poszedł z dymem. Tak czy nie?

– A sprawców nie pojmano – dopowiedział Wawrzyniec Gładysz.

– A idę o zakład – powiedział Szynkarz – że wy wszyscy wieta, kto dokonał tej zemsty.

Wawrzyniec Gładysz chciał zakończyć ten drażliwy temat:

– Odstąpiła już od tego. Żandarmy z miasta Piotrkowa i z wolskiego posterunku szukały tych pieruńskich chojraków, dworskie piekliły się. Kilku chłopom dostało się po parę batów i na tym sprawa skończyła się. Ale sprawców nie wytropiono. Jednakże niech z tego, choć ta nauka będzie, że jak sobie ktoś pomyśli, by chłopą oszukać, to niech mu pogorzeliśka przed ślepia staną. To go powstrzyma.

– Prawda, prawda! – Pozostali zawtórowali, mając już nieco w czubie.

Wincenty wstał od stołu i powiedział:

– No czas już na mnie, choć pobiesiadować by się jeszcze chciało w takim towarzystwie.

Pozostali też z ław się podnieśli i poczęli sięgać po swoje kapoty. Wyjmowali z kieszeni pieniążki, kładąc je na ławie, bo nie godziło się porządnym gospodarzom, by ktoś za nich płacił. Michał kłaniał się, dziękował i zgarniał ze stołu niezły grosz.

Kiedy izba już opustoszała, Mazurkiewicz począł zbierać się do domu. Spojrzał przez okno na drogę, a tu samotny jeździec, Leonard Wilski, jak co dnia, przemierzywszy konno okolicę bez żadnego celu, wracał do swojego domu.

Rozdział 3

▼

Po długiej, mroźnej zimie nadeszła wiosna, zmieniając oblicze ziemi. Słońce, wstając coraz wcześniej, coraz silniejszymi swymi promieniami szybko rozpuściło połacie śniegu. Wytrącona z lodu woda, tworząc strumyki, ruszyła wszelkimi możliwymi zagłębieniami i rowami do Moszczanki. W kilka dni rzeka wypełniła swoje koryto po brzegi, by w końcu dać upust nadmiarowi wody, zatapiając okalające ją łąki. Bagna i mokradła wokół rzeki stały się niedostępne dla ludzi. Dzikie ptactwo nadciągnęło z zachodu, osiedlając się na swych dawnych żerowiskach. Dolina budziła się do życia.

Na rozległym stawie przy majątku dzikie kaczki, kurki wodne, łąbędzie i perkozy w walce o dogodne miejsca dla budowy gniazd każdego dnia czyniły wrzask, który niesiony wiatrem docierał do okolicznych chałup. W folwarku narastało ożywienie. Najemni pracownicy w oczekiwaniu zarobku kręcili się za robotą i dopytywali o nią. Dla niewielu jednak znajdowało się zajęcie.

Za to Jan Czajkowski, będąc już od lat kowalem, roboty miał co niemiara. To służący z folwarku, to fornale, co rusz nachodzili go, domagając się to tego, to tamtego. On narzekał:

– Chłopy, nie dajeta mi spokoju, bez przerwy z czymś tu przyłazita. Palenisko nie przygasa, żelazo nie stygnie, wciąż jakaś robota zalega, a ja pomocnika nie mam.

Na co jeden z fornali powiedział:

– Żeby w ziemi pracować, to pługi, uprząż do koni i co tylko potrzebne musi być gotowe. A tu wszystko się rwie, nawet kawałka porządnego żelaza. Rządca Antoni Idzikowski kazał szykować się do orki, a ja pytam, czym?

Kowal roześmiał się:

– Już się piekli, a pola jeszcze nie obeschły, woda stoi i nijak wejść się nie da.

W tej samej chwili rządca zbliżył się do kuźni, a słysząc rozmowę, zagadnął:

– A co wy tak narzekacie?

Służący natychmiast uciekł do obory, a kowal odparł:

– Wali się tu wszystko, nie ma z czego robić. Konie podkowały pogubiły. Zapasione przez zimę i bez ruchu, ale to nie moja sprawa...

Na te narzekania rządca odparł:

– Pan Wilski tu gospodarzem, robi, jak se zamyśla. A konie podkute muszą być, niebawem dziedziczka Albina Wilska z córkami na przejażdżce będzie chciała czas spędzać.

Kowal Czajkowski powiedział:

– Byś poszedł do dworu i nakłonił jaśniepana, by ulżył sakiewce, bo z niczego nie uredze.

Tamten machnął ręką:

– Człeku, ponoć folwark już w takich długach tonie, że jeszcze trochę i trzeba będzie nowego miejsca szukać.

Kowal także ręką machnął, młot chwycił i zaczął ostukiwać czerwony metal, który z paleniska wyszarpnął. Iskry bryzgały na boki po każdym uderzeniu. Coś tam mruczał pod nosem, ale stukot młota tłumiał jego słowa.

###

Helena od czasu zimowej podróży pociągiem do Piotrkowa nie dawała mężowi spokoju. Obraz niezamarzniętej zimą rzeczki pozostawał w jej umyśle i wyobraźni. Wstążka czystej jak kryształ wody, wyłaniająca się spośród olszynowego, szarozielonkawego lasu, wijąca się pomiędzy trawami oszronionymi, przyodzianymi w biel drobinami lodu, niczym jak w bajce niemo, majestatycznie

pchała swe wody ku wschodzącemu słońcu. W ciągu dnia odbijało się od lustra wody błękitne niebo, w nocy zaś stawała się granatowa, z rozsypanymi w lustrzanym odbiciu tryskającymi białym światłem gwiazdami.

Teodor zawsze dotrzymywał słowa. W końcu nadszedł dzień, kiedy obiecaną żonie wycieczkę należało odbyć. Pogoda zapowiadała się niezgorzej. Dorożka w dwa konie, przygotowana tuż po świcie, oczekiwała na podróżnych. Teodor zbudził małżonkę z sennego marazmu w przytulnym łóżu. Zdawała się być zaskoczona, gdy oznajmił jej gotowość do wyjazdu:

– *Liebling*⁴, niebawem powinniśmy wyruszyć. Na dziedzińcu czekają już konie.

Kobieta ożywiła się i zapytała:

– Co ty dzisiaj wymyśliłeś?

Ender jakby od niechcienia, opuszczając sypialnię, rzucił:

– Chciałem dotrzymać danego zimą słowa i zabrać cię do niezamarzającej rzeki.

Wyskoczyła z łóża na te słowa i popędziła do garderoby, krzyżąc przy tym:

– Potrzebuję tylko chwilę, naprawdę niewiele! – Mrugnęła do niego okiem, nim zniknęła za drzwiami i dodała: – No skoro mój mąż dał słowo, to musi go dotrzymać.

Zanim kobieta przygotowała się do drogi, Teodor zamienił kilka zdań z woźnicą, którego poufnie wynajął jakiś czas temu.

Rzekł do niego:

– Mój przyjaciel polecił mi was, bo podobno znacie okolice Piotrkowa.

Woźnica odparł:

– Znam, a dokąd mam państwa zawieźć?

Ender opisał miejscowość, do której chcieli dotrzeć:

– To miejsce jest niedaleko Piotrkowa, płynie tam rzeczka, w której woda zimą nie zamarza. Wieś zwie się Motschenitz czy jakoś podobnie. Chcielibyśmy poznać tamtą okolice.

⁴ *Liebling* (niem.) – Kochanie.

Woznica pokiwał głową i ostrzegł Teodora Endera:

– To dość daleko.

– Przyznaję, ale dnia wystarczy – odparł Teodor.

Niebawem Enderowie siedzieli wygodnie w obszernym siedzisku, na tyle bryczki, a woznica obrał kurs na południowy wschód. Początkowo widoki wydawały się jednakie. Zielone już pola, lasy niezbyt rozległe, poprzerzynane małymi osadami ludzkimi. W końcu bryczka dotarła pod kościół. Duży, choć bardzo zaniedbany, ogrodzony kamiennym murem, który przyprawiały gięte ozdoby z żelaza.

Helena spytała woznicę:

– A co to za miejscowość?

– Srock, proszę pani – odparł – niegdyś szlachecka ostoja.

– A kościół kto zbudował? – dopytywała Helena.

Woznica zaczął opowiadać.

– Ziemie te należały do rodu Bykowskich, po nich, gdy Małachowscy objęli wszystko w posiadanie, to Stanisław, marszałek sejmu Rzeczypospolitej, wybudował ten murowany kościół i tak stoi tu już od stu lat.

Teodor pokiwał głową i rzekł:

– Jest wystawny, ale wymaga naprawy.

Stamtąd bryczka ruszyła na wschód, pozostawiając po prawej stronie młyn wietrzny na wzniesieniu, którego szerokie ramiona obracały się jednostajnie w powiewie wiatru. Niedogodną, piaszczystą drogą, omijając nieużytki, podróżni po niedługim czasie dotarli do Gościmowic. Tam z niewysokiego, ale rozległego wzniesienia widać było szeroką bagienną wstęgę, pośród której rozlewały się wody rzeki.

Dorożkarz zagadnął:

– Łaskawi państwo, przed nami rozchodzą się dwie drogi, jedna prowadzi na wschód i ta jest bez przeszkód, ale za to dłuższa, druga zaś prowadzi na wprost przez rzekę. Zdaje mi się, że to właśnie ta rzeka, którą pani sobie upodobała.

Ender nie pragnął niepotrzebnych przygód i oznajmił:

– Jedźmy na wschód.

Helena jednak nie chciała pozbawić się wrażeń i sprzeciwiła się mężowi:

– *Aber mein Schatz*⁵, pojedźmy przez bród.

Oczywiście zgodził się i po chwili woźnica jechał ku rzece. Zjechali ze zbocza, a tam szeroką ławą wiła się woda, czysta i zimna. Płynąc w tym miejscu pozwoliła na przeprawę. Koń ledwo zamoczył kolana. Dzikie kaczki zasiedlające to miejsce skryły się w zaroślach. Krzyk żurawi rozerwał powietrze. W przeźroczystej wodzie miętusy tu żerujące przylgnęły do dna, chowając się za kawałki drewna.

Po tych chwilach pełnych wzruszeń woźnica zawiózł wielmożne państwo do Gajkowic. Nim wjechali do wioski, minęli dwa młyny wodne przyległe do Moszczanki. Jeden stary, mocno pochylony do ziemi, zwał się Franki, drugi, nieco nowszy, Maciejek. Słychać było, jak skrzypią koła młyńskie, jak przelewa się woda w stawidłach. A wokół nich senna cisza zalegała w powietrzu, sprawiając, że chłód doliny nie ziębił, tylko orzeźwiał. Przed nimi roztaczał się pagórek, a gdy już na niego wjechali, ujrzeli małą wieś na wyżynie.

Przejeżdżając przez wioskę w stronę torów, Teodor zwrócił się do żony:

– *Liebling, sehe mal*⁶, jak zasobna musi to być wieś, widać porządek w gospodarstwach.

Helena także była oczarowana.

– Jakie piękne obrazy roślinne na okiennicach, ściany chałup skąpane w błękitach, wszystko jawi się niczym w niebiańskiej krainie – powiedziała.

Pojechali dalej do miejsca, gdzie droga przecinała się z koleją żelazną, gdy minęli tory, nie było już żadnych zabudowań. Teodor rozglądał się wokół, jakby czegoś wypatrywał.

Żona spytała:

– Co cię tak zaciekało?

– Patrzę i dostrzegam tu możliwość wydobycia większego pożytku z tej okolicy. Ta surowa połać domaga się ujarzmienia,

⁵ *Aber mein Schatz* (niem.) – Ale mój drogi.

⁶ *Liebling, sehe mal* (niem.) – Kochanie, spójrz.

wzbogacenia w dobra wytworzone ludzką ręką. A sprzyja temu kolej żelazna, zasoby gliny, dające się spożytkować do wytworzenia tworzywa budowlanego, rzeka tocząca znaczną ilość wody, jest też dworek, gorzelnia...

Nie dokończył swojego wywodu, bo Helena spojrzała na niego z wyrzutem i rzekła:

– Teodorze, miałeś mi pokazać piękną wiejską okolicę, rzekę, która nigdy nie zamarza...

Ender spojrzał na małżonkę, a zwrócił się do woźnicy:

– Byliście już tu kiedyś?

– Przejeżdżałem tylko – odparł woźnica i dodał od siebie: – Znam kościół na wzgórku, a o resztę możemy kogoś zapytać, o choćby tego chłopca.

Przy torach kolejowych kręcił się jakiś wyrostek, bez butów, w zgrzebnych portkach i takiej samej koszuli z rękawami podwiniętymi pod łokcie.

Woźnica zapytał chłopca:

– Hej, chłopcze, jesteś stąd, jak ci na imię?

Młodzieniec odpowiedział:

– Ja tutejszy, panie, jezdem Antek Głowacki z Woli Moszczeńskiej.

– Słuchaj no, Antku, poprowadzisz nas, może coś pokażesz. Patrzaj, co tam za kupka chałup? – woźnica wskazał na prawo.

W oddali widać było kilka w sobie dość ponurych chałup.

– E, to Kosów, ja zem się urodził tam, w Pomykowie – odparł chłopiec, wskazując ręką na lewo.

Enderowie uśmiechnęli się, a Teodor dodał:

– Wskakuj na kozioł obok powozowego, tam będzie ci wygodnie i pokaż nam ten twój Pomyków.

Antkowi nie trzeba było powtarzać, migiem znalazł się na koźle i zaraz pochwalił się swoim rodzeństwem.

– Mam trzy siostry i pięciu braci, z nich najmłodszy jezdem. Wszyscy robimy w pomykowskim folwarku.

Enderowa przerwała zwierzenia młodzieńca i zapytała:

– Jak to wszyscy pracujecie w folwarku, przecież jesteście chyba jeszcze za młody do pracy?

Antek odparł:

– Brat najstarszy ma już czternaście lat, to i ojcu przy pługu pomaga, a my różnie, gdzie się da, bo jak ociec powiada, jeść trza co dzień.

– A co ze szkołą, nie uczęszczasz? – zapytał Teodor.

– E tam, taka rosyjska szkoła, cztery lata chodziłem i dwie klasy skończyłem, ale pan Michał Mazurkiewicz mówi, że trza się uczyć rosyjskiego, ale i po polsku pisać i czytać trzeba umieć.

– Mądry ten pan Michał – powiedział Ender i zapytał: – To nauczyciel?

Antoś odparł:

– Nie, pan Michał to karczmarz na Fryszerce, a w szkole uczy pani Jadwiga, ma takie francuskie nazwisko Olzijati.

Przejeżdżali właśnie obok stawów, w oddali pałac majaczył za drzewami, wszystko wyglądało bardzo porządnie, ścieżki wytyczone, kwiaty w różnych barwach kołysały się wyniosłe. Cisza dokoła rozpościerała się jak mgła, pokazując wszystko cudnie. Takim spokojnym, spacerowym rytmem jechali drogą obok młyna. Przez drewniany most nad Moszczanką woźnica skierował konie w kierunku kościoła.

Głowacki znów opowiadał:

– Za nami Wola Moszczeńska, chałupy wiejskie, folwark Wolskich i czworaki fornalskie, jak wszędzie nie ma co oglądać. Przed nami Moszczenica, z kościołem i ładniejszą zabudową, a po prawo w głąb łąk Fryszerca z młynem, kuźnią i cenioną karczmą pana Michała.

Ender na to:

– *Liebling*⁷, może zjedlibyśmy coś w tej cennej karczmie?

Nim zdążyła odpowiedzieć, Antek rzekł:

– A pewnie, że tak, szynkarz będzie rad móc posłużyć szanownemu państwu, ja zaraz pobiegnę go zawiadomić i migiem będę z powrotem.

⁷ *Liebling* (niem.) – Kochanie.

Nimi zdążyli się obejrzyć, młody Głowacki już zeskokczył z koźła i pognał na skróty polną ścieżką. Powoźący zatrzymał wolant przed moszczenickim kościołem, gdzie w progu kaplicy stali organista Teodor Gaspar i miejscowy proboszcz Jan Karwacki, żegnający ostatnich parafian *post missam peractam*⁸.

– Czyżby ktoś aż tak spóźnił się na mszę? – powiedział głośno Gaspar.

Ksiądz Karwacki odparł:

– Raczej ktoś przyjechał do nas w gościnę.

Do stojących zbliżył się woźnica ze słowami:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, szanowny księżę, pragnę przedstawić państwa Enderów z Pabianic, panią Helenę Emilię i pana Teodora. Mimo że osoby proboszczowi były nieznane, to przypomniał sobie list ks. Edwarda Szulca, proboszcza w Pabianicach, który pisał mu o rodzinie Enderów, przedsiębiorców, ewangelików, którzy pomagają jego parafii.

– Słowem Bożym witam Państwa i zapraszam na plebanię – zachęcił ich ksiądz proboszcz, przyjaznym skinieniem, wskazując na dom.

Ender odparł:

– Dziękujemy za zaproszenie, choć jesteśmy tu tylko przejazdem, chętnie poznalibyśmy nieco bliżej to święte miejsce.

Gaspar na to powiedział:

– Ja oprowadzę i chętnie opowiem Państwu, zapraszam do świątyni. Parafia w tej miejscowości została wystawiona na początku XV wieku przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Trąbę. Pierwszą drewnianą świątynię pod wezwaniem Podwyższenia Świętego Krzyża wystawiono jeszcze przed utworzeniem parafii. Została ona rozebrana w 1621 roku i w miejscu pierwotnego kościoła wojewoda kaliski Ludwik Małachowski kazał pobudować nowy, również drewniany dom Boży. Gdy ten zaczął chylić się ku upadkowi, w roku 1769 Stanisław Małachowski, referendarz koronny, marszałek

⁸ *Post missam peractam* (łac.) – Po zakończeniu mszy.

izby poselskiej i właściciel Moszczenicy, wyłożył srodki na murowaną, późnobarokową świątynię z założeniem na kształt krzyża.

Na to Ender spytał:

– Ten sam Stanisław, co w Srocku wystawił świątynię?

Gaspar odpowiedział:

– Tak jest. Ale nasza parafia jest mała, należą do niej jedynie trzy wioski, bogatych gospodarzy mało, a jaśniepanowie kolatorzy, no cóż.

Enderowie popatrzyli na siebie. Teodor jakby miał zamiar odpowiedzieć, lecz jego zawahanie wykorzystała Helena i powiedziała:

– Późno już, a obiecałeś jeszcze chłopcu, że zobaczymy jego miejsce urodzenia.

Teodor na to odparł:

– Tak, oczywiście, dziękujemy za opowieść, mam nadzieję, że znajdą się srodki na odnowienie.

W tym czasie wrócił z szynku Antek.

– Jedźcie z Bogiem – pożegnał ich organista.

Pojechali drogą na Baby i niedaleko za kościołem skręcili w prawo, stąd widać już było wioskę i folwark pomykowski. Szybko dojechali do wioski, woźnica zatrzymał wolant. Antek zeskoczył z kozła, ale jakby wahał się pokazać swoją chatę.



Stanęli wszyscy w osłupieniu, nie mogąc nadziwić się takim widokiem. Poczuli, jakby cofnęli się w czasie, widać było tylko kilka domów, ale jakby pochłaniała je ziemia. Te piastowskie chaty, kryte słomą, obrośnięte mchem na strzesze zdawały się wyglądać niczym zgniłozielone straszdyło.

Do tego przesywający śwąd, który zalegał wokół nich.

Helena zwróciła się do męża:

– Teodorze, czy tu żyją ludzie?

– Jeśli ktoś opowiedziałby mi, że w ostatnich latach tego wieku mieszkają ludzie w takich norach, nie uwierzyłbym, lecz gdy teraz to widzę... Zawracajmy, odpoczniemy trochę w karczmie, bo nie-
długo czas nam wracać.

Antek, choć nieco zawstydzony, zebrał się na odwagę i rzekł:

– Jedźmy prosto wzdłuż folwarku, droga sama zaprowadzi
na Fryszerkę, tam łąki pełne cudnych kwiatów i ptaki wszelakie.
Woda w Moszczance czysta, ryb i raków nie brakuje.

I tu Antoni Głowacki nie kłamał. Zjechali ze wzgórza w dość
głęboką rzeczną dolinę, gdzie pachnące zioła łąkowe, trawy zie-
lone, pozwoliły szybko wyprzeć ze świadomości poprzednie ponure
obrazy. Karczmarz, powiadomiony już wcześniej, czekał z posił-
kiem dla wyszukanych gości. Przygotował przepiórki, które hodował
w swojej zagrodzie. Z piwniczki wydobył miód pitny, by przypodo-
bać się towarzystwu. Gdy goście zaspokoili już głód i pragnienie, Teo-
dor zawołał na szynkarza:

– Znacie tego chłopca, co nas tu przyprowadził?

Michał odparł:

– A jakże – odparł szynkarz Michał – to zdolny, zaradny dzie-
ciak, przychodzi do mnie często z braćmi.

Teodor zapytał jeszcze:

– Czy wy umiecie czytać?

Szynkarz Michał Mazurkiewicz odpowiedział:

– Choć już jestem mocno wiekowy, to gdy byłem w wojsku car-
skim, podłapałem tam czytanie i pisanie.

– To dobrze, jeśli zgodzisz się uczyć tego chłopca, ja zapłacę za naukę – zaproponował Teodor i wyjąwszy plik rubli, położył na ławie, oddzielając część za posiłek.

Ogromne zdziwienie malowało się na twarzy karczmarza. Pomyślał: „Jak to możliwe, by Niemiec nieznanemu chłopcu na naukę dał tyle pieniędzy, za co?”

– Ależ proszę wielmożnego pana, niepotrzebne ruble. I bez pieniędzy zajmę się Antkiem, a i braciom nie poskąpię wiedzy – odpowiedział Michał.

Na to Helena powiedziała:

– Proszę nie odmawiać, na zeszyty i książki wystarczy, i proszę jeszcze sprawić mu porządne buty.

Michał już nic nie odpowiedział, kiwnął tylko głową na znak zgody. Enderowie byli już na zewnątrz, nim wsiedli do wolanta.

Helena zawołała do chłopca:

– Dziękujemy ci, chłopcze, przyjemnie spędziliśmy czas, a zajdź jeszcze do karczmy, gospodarz ma ci coś do przekazania.

Antek posmutniał, powolnym krokiem przekroczył próg szynku, a w nim zobaczył uśmiechniętego karczmarza.

– Co to za nietęga mina? – zagadnął Michał.

Na co Antek odrzekł:

– E tam, zaraz smutna, a tak jakoś se myślałem, że dostanę parę kopiejek.

Szynkarza rozbawił kwaśny wyraz twarzy chłopca.

– Dostałeś nie tylko parę kopiejek, ale rubli na naukę, a jutro pójdziemy do szewca po buty.

– Co?! – zdziwił się chłopak, jakby nie dosłyszał wszystkiego:

– Bede miał nowe buty!? – wrzasnął i już go nie było.

Michał stał jeszcze na środku karczmy i cieszył się z takiego obrotu spraw. Teraz jego myśli pobiegły za nieznanymi i w cichości ducha powiedział do siebie: – Niemcy, a porządni ludzie.

Emil Haebler zasiał w umyśle Teodora pewien pomysł. W zasadzie poparł to, nad czym Ender zastanawiał się już od pewnego czasu, lecz jak dotąd jakoś wstrzymywał się od podjęcia rzeczywistych działań. Sprawy w Pabianicach układały się pomyślnie, przychody ciągle

rosły z prowadzonych przez niego przedsięwzięć, co tylko pobudzało go do dalszego ich pomnażania. Nie mógł wyzbyć się myśli o nowych przedsięwzięciach, nie potrafił zadowolić się już osiągniętym. Przemozna siła tworzenia dóbr rodziła w nim śmiałe pomysły. Tym razem jego myśl krążyła wokół stworzenia czegoś od podstaw. Zamiar tkwił w tym, by na ugorze wybudować zakłady, które mogłyby zadowolić nie tylko jego samego, lecz stworzyłyby możliwość lepszego bytowania wszystkim tym, którzy jak ci z pomykowskich chat mogliby poprawić widok przyszłości swoim dzieciom. Miał już kilka sposobności do podjęcia takich działań, ale jeszcze ciągle wahał się. Niebawem jednak sam los przyszedł mu z pomocą w rozwianiu jego wątpliwości.

###

Już od wczesnego poranka tego sierpniowego dnia Leonard Wilski krzątał się po obejściu. Kazał przygotować swego ulubionego konia, więc zawołał na Tomasza Ortela:

– Koń gotowy!?

Ten skłonił się nisko i odpowiedział:

– Szanowny panie dziedzicu, kary okulbaczony pod stajnią stoi.

Leonard, jakby się wahał, jakiś niepokój nim targał. Jechać, nie jechać? Wszak dzień nie zapowiadał się słoneczny. Podszedł do konia, szybko jednak zmienił zdanie.

– Osiodłaj mi tego gniadego, którego niedawno nabyłem.

Stajenny, mocno zdziwiony, odrzekł:

– Ależ panie dziedzicu, koń okrutnie narwany i od kilkunastu dni nieujeżdżany.

Leonard nie znosił sprzeciwu, surowym wzrokiem spojrzął na służącego, choć już wiekowy był i jeszcze za ojca pracował w stajni. Rozkazująco wyrzekł:

– Nie pytam cię o zdanie, ruszaj.

Znów jakiś odruch zawahania owładnął jego umysłem, lecz odgonił złe myśli. Szepnął sam do siebie: – Nie dam się odwieść od raz powziętej decyzji, nie zrezygnuję z przejażdżki.

Do służącego rzucił:

– Wypiję tylko kawę, a koń niech czeka gotowy.

Tomasz skłonił się tylko, nic nie mówiąc. Znał dobrze wypadki młodego Wilskiego, który niemal każdego dnia wyruszał, by krążyć pośród pól, lasów, moszczenickich chałup i okolicznych wiosek. Nikt dokładnie nie wiedział, po co i dokąd podążał. Często wracał późnym wieczorem, a bywało, że i głęboką nocą.

###

Jeszcze słońce nie pojawiło się na niebie, kiedy Stanisław Olczyk przybył do parku. Czekał cierpliwie na robotników, którzy wraz ze świtem mieli podjąć się roboty. Pierwej jednak obowiązywała zbiórka przed dworem. Roboty było, co niemiara, drzewa zalegające jeszcze od wiosny nie zostały uprzątnięte, krzewów do wycięcia było w nadmiarze.

– Niech będzie pochwalony, ogrodniku – robotnicy kłaniali się uniżenie.

Olczyk odpowiedział:

– A na wieki wieków, dobrze, że was widzę tak wcześnie, pogoda dziś niepewna, a pracy dużo.

Szybko i sprawnie rozdzielił poszczególnym pracownikom robotę. Miał już przemyślany plan uporządkowania zieleńca, wyznaczenia nowych alejek, wykopania rowów odwadniających. Spojrzał jeszcze raz w niebo, by upewnić się, że deszcz nie przeszkodzi w pracy. Szybkim krokiem pomaszerował w stronę swojego domu, który znajdował się obok czworaka fornalskiego. Pochłonięty myślami nie spostrzegł jeźdźca, który wyłonił się tuż przed nim. Olczyk mimo zaskoczenia zapytał:

– Jezu kochany, Pan dziedzic na przejażdżkę?

Wilski odparł:

– Muszę pocwałować trochę nowym nabytkiem.

Koń był niespokojny, dreptał nerwowo w miejscu i jak dziki zwierz pragnął wyrwać się z uwięzi i pognać gdzieś za nieboskłon. Jednak wprawiona ręka jeźdźca trzymała go mocno w ryzach.

Dziedzic spytał:

– Robotnicy przybyli, praca rozdzielona?

Ogrodnik odparł:

– Tak jest, panie dziedzicu, wszystko w najlepszym porządku.

Wilski dorzucił:

– Sprawdzę wszystko po południu i obym był zadowolony.

Koń poderwał przednie nogi, zakręcił się w miejscu, jakby próbując zrzucić jeźdźca, ten jednak natychmiast skrócił wodze i używszy ostróg, ruszył do przodu. Zadudniły kopyta na kładce rozdzielającej dwa stawiska. Dalej darnina rozrywana kopytami tryskała na boki. Popędził, tworząc z wierzchowcem jedność.

Słońce przechyliło się już na południe, nadszedł czas obiadowania. Olczyk, przechadzając się jeszcze wśród pracujących, czynił uwagi i poprawki. Był nader zadowolony z postępu prac, ale wciąż spoglądał w niebo. Całe już spowite chmurami, stało się szare, niosąc drobny kapuśniaczek.

Pracującym oznajmił:

– Czas na posiłek, kucharka pewno już przyrządziła strawę. Może po jedzeniu pogoda poprawi się, to dokończymy pracę. Zostawcie narzędzia pod drzewem i chodźmy, szkoda zdrowia.

Rzeczywiście jadło było już uszykowane i rozłożone na ławach w kuchni. Na glinianych miskach każdy miał uszykowaną porcję kapusty kwaszonej, w którą kucharka włożyła po cztery kartofle w całości. Wszystko to okraszone skwarkami podsmażonej słoniny.

Jeden z robotników zagadnął:

– Do takiego obiadu piwo by się nadało.

Inny robotnik dodał:

– Jaki to smakosz z naszego Józefa, piwa mu się zachciało, a w domu z jednej misy wszyscy jedzą i dobrze, jak same kartofle mają.

Wygłodniali po ciężkim wysiłku szybko zasiedli i zaczęli się posilać, aż drewniane łyżki o misy skrzypiały. Nim skończyli, do kuchni wbiegł z hukiem Tomasz Ortel, wykrzykując:

– Dziedzicowy koń sam stoi na mostku!

– A jaśniepan gdzie? – Ktoś zapytał.

Ortel z pełną powagą w głosie odparł:

– Powiadam sam koń.

Zerwali się wszyscy od stołu i przekrzykując, ruszyli w kierunku kładki:

– Co się mogło stać!?

Tomasz odpowiedział:

– Nie wiem, nie widziałem dziedzica, tylko konia ubłoconego mocno.

Na to Olczyk zarządził:

– Biegnij chyżo, Tomaszu, po służących i kto tam jeszcze tylko będzie w obejściu, niech przychodzą, bo szukujemy się do poszukiwań. Nie zapomnij powiadomić pana rządcę.

Stajenny odparł:

– Już byłem, ale pan Idzikowski pojechał na folwark do Pomykowa.



Pobiegli szybko nad stawiska. Koń stał pokryty błotem, uprząż w nieładzie, lejce wisały pod głową. Barierka na mostku była wyłamana, poręcze pływały na wodzie.

Jeden z robotników zawołał:

– Tu koń wylazł ze stawu, widać ślady kopyt!

Olczyk nie namyślał się długo, rozkazał:

– Idźcież szybko po długie tyczki, trzeba przeszukać dno.

Z pomocą dworaków zaczęto przeszukiwać zawartość zbiornika. Nadjechał też Antoni Idzikowski, zatrzymał konia i do poszukujących zawołał:

– Co tak brodziecie po wodzie, stało się coś!?

– Dziedzica szukamy – odpowiedzieli niemal chórem.

Wkrótce okazało się to, co najgorsze. Wydarzyła się tragedia. Ciało Leonarda Wilskiego znaleziono na dnie stawu. Śmierć przyszła nagle, a przyczynę tego wypadku nieszczęśnik zabrał ze sobą. Jedyne na wilgotnym pomoście pozostały ślady jakby końskich kopyt, ślizgających się na drewnianym podłożu.

Antoni rozmyślał o tym, jak przekazać wieść o śmierci Albinie Wilskiej, matce nieboszczyka.